

Stanisław DMUCHOWSKI

ARCHIWUM WSKROKIE

-1-

113 DMU
prośba o pakunaferyng
ocenę - 1 tydzień, ew.
Kleser, nie potakującej
zustanie polskie
nazwisko.

BYŁEM NA KOŁYMIE I POD MONTE CASSINO

W maju 1939r., po zakończeniu edukacji sztuki artylerii w Szkole Pchor.Art. w Toruniu /wspaniała to była szkoła życie-ładna inna wyższa uczelnia na świecie nie może się z nią równać/otrzymałem przydział do macierzystego pułku-1 Pułku Art.Plot. w Warszawie.Ze względu na stolicę W-wę był to pewnego rodzaju paszczyk.

Również do tego samego pułku dostał się mój serdeczny kolega Mikołaj Dunin Marcinkiewicz-nazywałem go "Kola".Więc razem przyjechalismy do W-wy,by rozpocząć kilkumiesięczny staż oficerski i następnie na 15 października pojechać do Torunia na promocję oficerską i potem już na stałe wrócić do Warszawy-niestety nie doczekalismy się tej daty. D-two pułku mieściło się u zbiegu ulic Rakowieckiej i Puławskiej-ze wszystkich zabudowań ocalały tylko 2 budynki-jeszcze dzisiaj stoją, z czerwonej cegły,widoczne z daleka.Dywizjony mieściły się na Biblicach r/Boernerowa-z Placu Teatralnego dojeżdżał tramwaj "B",zwany betką.Koszary nowoczesne,kuchnia nowoczesna i wspaniałe tłusty gulasz albo bigos.A propos-w Toruniu dawali bigos na winie na 2-gie śniadanie Piękna pogoda w maju zwiastowała nadejście żadnego lata.Niemal codziennie po zajęciach wyruszaliśmy z Kola do miasta.Chociaż nie mieliśmy forsy,prawie zawsze udało nam się przyczepić do jakiegoś pika,który regulował rachunek w lokalu.

Za to prezentowaliśmy się elegancko-szerokie peleryny,przy boku kordzik na długich rapciach no i pełno naszywek ze srebra.Żał nam było tylko szabel i ostróg,z którymi pożegnaliśmy się na II-gim roczniku SPArt.

Do mojej baterii przydzielono grupę oficerów-lotników na odbycie kursu przeciwlotniczego.

Ża to, że tak składnie prowadziłem z nimi ćwiczenia kpt.Majewski-lotnik zabierał mnie na lotnisko,gdzie wsiadaliśmy do jego samolotu PWS-16

miejsce
mego
mego

i nad W-wą wyczyniał on różne sztuczki akrobatyczne. Lataliśmy również nad Babicami, gdzie na dole Kola prowadził działoczozy ze swoją baterią. Praktyka w pułku bardzo nam z Kola odpowiadała - czuliśmy dużą swobodę po przebyciu 3-ech lat ~~staszki~~ rygoru i dyscypliny w podchorążówce.

Pamiętam, gdy raz usiadłem na łóżku 5 minut przed pobudką i przyszywałem guzik do koszuli, dostałem 3 dni aresztu. Podchorąży wychodzący na przepustkę musiał mieć przy sobie dwie chusteczki, w przeciwnym razie wstrzymane miał wyjście do miasta.

Tu w pułku nie musieliśmy się pilnować, praktyka przebiegała szybko i sprawnie i nadszedł już sierpień i wraz z nim pierwsza moja pamiętna data tamtych czasów - 28/29 sierpnia 39r. Pełniłem wtedy służbę oficera insp. ~~katastru~~ garnizonu Babice, była godzina 1³⁰ w nocy, zadzwonił telefon. W słuchawce usłyszałem głos mojego d-oy pułku płk. Barana, który oznajmiał: "Głoszę alarm bojowy dla 1-go Pułku Art. Plotn". Wydawało mi się, że się przesłyszałem i spytałem ^{pułkownika} płk. a, czy to nie pomyłka a może alarm ćwiczebny, ale płk Baran jeszcze raz dobitnie powtórzył, że alarm bojowy. Odpowiedziałem płk-owi, że zrozumiałem i odłożyliśmy słuchawki.

Natychmiast zerwałem plombę z szafy pancerniej, wyjąłem instrukcję i uważnie przestudiowałem. Zarządziłem pobudkę dla całego ~~katastru~~ garnizonu, wysłałem gońców do kwater prywatnych oficerów i podoficerów i tak zaczęła się mobilizacja.

Już wczesnym rankiem zaczęli przybywać rezerwiści i zaczęły się tworzyć nowe jednostki, tym razem już bojowe z pełnym wyposażeniem i uzbrojeniem.

Do pułku został zmobilizowany między innymi Aleksandar Żabczyński, słynny aktor teatralny i kinematografii. Pamiętam, gdy telefonował do swej żony Marii Żabczyńskiej, jak uspakajał ją, zapewniając, że

to się wkrótce skończy, że wkrótce wróci do domu.

Po raz drugi zetknąłem się z Olkiem na Środkowym Wschodzie, gdzie pełnił funkcję adiutanta 3Karp.P.Art.Plotn., po raz 3-ci i ostatni na Nowym Swiecie w 1948 r., gdy wracał z próby z Teatru Kameralnego.

W pułku panował ożywiony ruch, a szczególnie w magazynach mob. skąd pobierano różne rzeczy.

Moją nową jednostką bojową, która została mi powierzona był samodzielny pluton art. plot. Nr 108 z kryptonimem "Jadwiga" a 4 armaty o kalibrze 40 m/m, automaty produkowane w Starachowicach na licencji nazwanej szwedzkiej "Bofors'a"-pociski miały wmontowany w dół świetlny materiał fosforyzujący. Ciągniki na gasienicach typu C₂P.

Ilość osób-około 100, w tym kilkunastu podchorążych rezerwy.

Wśród żołnierzy mojego plutonu byli i tacy, którzy do tej pory przesiadywali w więzieniu za przynależność do partii komunistycznej.

Jako dowódca tego plutonu byłem w stopniu ogniomistrza podchorążego-nominację na podporucznika otrzymałem w połowie września rozkazem gen. Rumla, d-cy Obrony Warszawy.

Zadaniem plutonu "Jadwiga" była obrona mostów na Wiśle-przecieków mostu Kierbedzia i mostu kolejowego średnicowego od strony Pragi. Armaty cieszyły się dobrą opinią, strzelały torem płaskim, szybkość początkowa pocisku 800m/s-również cenne były przy strzelaniu do czołgów, uzbrojone w pociski ppanc.-b.skuteczne i celne. Stanowiska mojego plutonu już z góry były wyznaczone-w środku między obu mostami, na wale nad samą Wisłą po stronie Praskiej w pobliżu portu Handlowego. Obok znajdowała się plaża i przystań kajaków i Łódka Klubu "Rodzina Urzędnicza".

Podobnym plutonem dowodził Kola, lecz z zadaniem obrony lotniska Okęcie. Ciężkie przeżywał chwile w pierwszych dniach września,

ponieważ Szkopy rozpoczęli bombardowanie ~~Warszawy~~ W-wy od zniszczenia wszystkich lotnisk.

W godzinach popołudniowych dnia 30 sierpnia 39 r. pluton "Jadwiga" zajechał między mosty i po usadowieniu dział na wale Wisły w uprzednio już przygotowanych wykopach trzeba było znaleźć miejsce dla ciągników, zamaskować, ustawić dalmierz, przygotować kuchnię, przygotować miejsce na nocleg w budynku przystani.

Zwróciłem uwagę, że budynek posiadał wieżyczkę, która zmniejszała przestrzeń ostrzału dla plutonu. Gdyśmy przy pomocy siekier chcieli zlikwidować wieżyczkę, ludność cywilna nie chciała się zgodzić na zniszczenie budynku, grożąc nam nawet, że złożą skargę Prezydentowi Mościckiemu. Oto dowód, jak Warszawiacy nie wierzyli w wojnę i nie zdawali sobie sprawy, że to początek II Wojny Światowej.

Na razie wieżyczkę zostawiliśmy całą, żeby nie drażnić ludzi, ale w dwa dni później wycelowaliśmy z działa i tylko drzazgi poleciały a bateria zyskała pełne pole ostrzału.

W dniu 31 sierpnia odwiedził nas ppłk. Juraż z-pen d-cy Obrony Plot. W-wy i zadał mi pytanie "co będę robił, gdy na niebie zobaczę samoloty z czarnym krzyżem", odpowiedziałem - będę strzelał.

Nadszedł wreszcie ten przekudny dzień -1 września- słońce pięknie świeciło, ani jednej chmurki na niebie, a z działa na dużej wysokości słychać było nieustający dźwięk przelatujących Dornierów i Junkersów a radio W-wa podawało ~~ciągłe~~ ciągle "Uwaga, uwaga-nadchodzi".

Nasze Zenitówki były gotowe do strzelaniny i czekały na jakiś nalot na przyczółki mostowe mostów Kierbedzia, Kolejowego Średnicowego i Poniatowskiego, ale Szkopy najpierw porwali

się na bombardowanie wszystkich lotnisk. Około godziny 15.00 tegoż dnia zobaczyłem przelatujący nad naszym stanowiskiem samolot Junkers - leciał w kierunku W-wa Praga na Zachód - krzyknąłem samolot i wskazałem ręką - jeden z działonów, gdzie dowodził podchorąży puścił serię fosforyzujących pocisków - samolot zmienił kierunek lotu, wzdłuż Wisły i nagle zapalił się - potem zaczął koziołkować, skrzydłem zawadził o kamieniec i runął na ulicę Tamki w pobliżu ul. Wybrzeża Kościuszkowskiego. Natychmiast wysłałem Fistera ludzi, którzy przywieźli różne szczątki i zegary, którymi obwiesiliśmy dział, które straciło tę piekielną maszynę. Był to bombowiec szablakany, już po zrzuconiu bomb - liczył 5 osób obsługi - same młode Szkopy - wszyscy zabici.

W samolot ten nie trudno było trafić, ponieważ leciał na nie dużej wysokości i akurat w zasięgu skutecznego ognia naszych Zenitówek.

Zaraz dowiedziało się d-two Obrony i znów przyjechał ppłk Juraż, aby nam pogratulować. Radość była ogromna, szkoda tylko, że tak krótko trwała.

Teraz już na dobre W-wa zaczęła się przygotowywać do obrony - kopano rowy, organizowano służbę gaszenia pożarów, budowano schrony, we wszystkich parkach ustawiano stanowiska dział polowych różnego kalibru.

Warszawiaczy nie myśleli o klęsce, a może nie zdawali sobie sprawy - w każdym razie duch do stawienia czoła npl'owi był ogromny. Już w pierwszych dniach września wszystkie w-skie lotniska były już zniszczone i nie czynne. Po czym lotnictwo niemieckie codziennie, po wiele razy wykonywało naloty na wszystkie obiekty W-wy, w szczególności na mosty na Wiśle. Jednego dnia naliczyłem 16 nalotów na przyczółek mostu Kier-

bedzia od strony Pragi - z lotu nurkowego - przeważnie nala-
tywali od strony słońca, żeby być mniej widocznym. Wtedy
mój 4-o działowy pluton "Jadwiga" nie miał chwili wytchnienia
i posyłał im smugi i wiązki świetlnych pocisków, które mu-
siały oddziaływać nerwowo na pilota i dlatego nie mogli za-
bardzo obniżyć lotu nurkowego i po krzuceniu ładunku jak naj-
szybciej wyprowadzali maszynę z lotu nurkowego i uciekać.
Nie tak łatwo jest trafić w most, który z góry widoczny jest
jak nitka.

To też wszystkie mosty na Wiśle z Obrony W-wy zostały nie
naruszone. Jedynie na przyczółku mostu Kierbedzia szyny tram-
wajowe powyginane były w kształt spirali Archimedeusza, lecz
ucierpiał bardzo w pobliżu lunapark-również zostało kilka
dziur w moście Poniatowskiego, nie wyłamując mu żadnej szko-
dy.

Po każdym nalocie na mosty na powierzchni Wisły pływały ty-
siące ogłuszonych ryb i to olbrzymie, wielokilogramowe -
jeszcze wtedy Wisła nie była zatruta ściekami przemysłowymi.
Żołnierze łódzami zbierali te ryby i mieliśmy doskonałą
wyżerkę.

Na Powiślu w pobliżu mostu Kierbedzia na 4-tym piętrze mie-
szkała moja koleżanka z gimnazjum z Kowla - Hela Weberówna
i jej matka. Ojciec Heli były starosta m. Kowla i młodszy bra-
Maciek zabrali z domu Karabin i wyszli z W-wy - taki był wów-
czas rozkaz prezydenta Starzyńskiego. Hela prosiła mnie że-
bym własnym środkiem lokomocji przeprowadził ja do innej,
bardziej bezpiecznej dzielnicy. Zajechałem więc wieczorem
ciągnikiem na gąsienicach CZP, załadowałem matkę, Helę,
pościelę i pieska jamnika i przetransportowałem do dzielnicy
w pobliżu ulicy Tamki. Ciągnik na gąsienicach, jadąc po ke-

cich łbach strasznie hałasował.

W połowie września Szkopy pociskami zapalającymi trafili w Zamek Królewski, który przez kilka dni płonął na naszych oczach, ponieważ nasze stanowiska działowe znajdowały się prawie vis a vis Zamku po przeciwnej stronie Wisły.

Samoloty niemieckie stale przylatywały, zrzucały ładunki bomb, odlatywały, by znów przylecieć z nowym ładunkiem.

W-wa już od 8 września była okrążona i ostrzeliwana z dział różnego kalibru. Ludność cywilna odczuwała brak żywności - po wodę chodziła z wiadrami do Wisły. Na ulicy, gdy padł koń zabity, ustawiła się kolejka ludzi z nożami kuchennymi. Warszawa zmieniła się nie do poznania, ludzie po ulicach chodzili jak błędne owce, w wielu punktach pożary, których już nie gaszono, w sklepach z manufakturą rozdawano ludziom to, co jeszcze pozostało na półkach i w magazynach.

Moje d-two "Obrona Mosty" znajdowało się w forcie Traugutta obok Dworca Gdańskiego - d-ca kpt. Jezierski - tam miał również swoje stanowisko Kola ze swoim plutonem artylerki plot. .

Często jeździłem tam po rozkazy swoim małym, zielonym Fiatem - miał drobną usterkę - nie działał hamulec nożny - jeździłem więc na hamulcu ręcznym - sztuka to było nie łatwa.

W pobliżu mojego stanowiska znajdował się mały, jednoizbowy, murpowańny, opuszczony domek - pod ścianą stojące, wysokie lustro, na środku izby stół i kilka taboretów oraz dwa łóżka żelazne. Tam nocowałem wraz ze swoim z-pecą pehor. Berbeckim / syn generała/ . Nie łatwo było tu zasnąć, skoro regularnie w odstępach kilkuminutowych słyszano się świst przelatującego pocisku artyleryjskiego i sekundowy błask jak od błaskawicy oświetlał ~~niebiosa, na dachach fotografic, mierzonych, i w~~
~~nie, natomiast - "jakoż nie jest" - "stare, nie, nie, go, uspakobix~~

ciemności izby. Pchor. Berbecki w tym czasie latarką oświetla ustawioną na lustrze fotografię narzeczonej i ciągle powtarzał - "jeszcze żyję". Staraniem się go uspokoić, mówiąc, gdy słyszy się świst pocisku, to w porządku, ponieważ ten pocisk już nie trafi w domek lecz poleciał dalej. . Był to tzw. ogień nękający. Pomyślałem sobie, czyby Niemcy odkryli nasze stanowisko i z pewnym błędem wstrzelali się .

Również w pobliżu stanowiska, lecz trochę dalej znajdowały się domki , z których po każdym nalocie wychodziły prostytutki i bijąc się w piersi śpiewały - "jeszcze Polska nie zginęła, póki my żyjemy".

W dniu 20 września w obawie przed ewntualnym natarciem Szko-pów od strony Grochowa, otrzymałem rozkaz zmiany stanowiska i przejścia na wały obronne Cytadeli Warszawskiej na Żoliborzu.

Ponieważ przetransportowanie dział mostem Poniatowskiego było już ryzykowne i niebezpieczne zdecydowałem przetransportować działa nasypem kolejowym po torach linii Średnicowej. I udało się- ciągniki na gąsienicach CZP zdały wysmienicie egzamin- dalej od nasypu ulicami Pragi do mostu Kierbedzia i drogą wzdłuż Wisły na Żoliborz do Cytadeli. Tu zastaliśmy mnóstwo żołnierzy, większość walęśających się bez przydziału a w dole Cytadeli istne cmentarzysko posabijanych koni z rozdymnymi brzuchami od powietrza i starczącymi sztywno rozdymnymi nogami - nieprzyjemny był to widok.

Działa wtoczyliśmy na górę wałów Cytadeli i usadowiliśmy, ciągniki zabezpieczone od pocisków art. pozostały w dole. Żołnierze na noc schodzili na dół do w pomieszczeń Cytadeli. Ja natomiast ustawiłem mały namiot obok dział i tam nocowałem

Tam spotkałem mego starszego o rok kolegę z Torunia ppor. Zbyszka Zajęca.

Pewnego dnia przyjechała do nas na rowerze w płaszczu wojskowym ochotniczka Przysposobienia Kobiet-studentka Szkoły Nauk Politycznych-Alicja Skowronek i pozostała przy naszym plutonie. Rozwoziła żołnierzom gazety "Żołnierza", które informowały o sytuacji na froncie i miały dodać otuchy żołnierzom w obronie Stolicy. Alicję, dziwnym zbiegiem okoliczności spotkałem w Teheranie w wojsku II Korpusu w stopniu kaprała 4-go kwietnia 1942 r. - i 1/2 roku później na piaskach Palestyny pobreliliśmy się, ale o tym w późniejszych relacjach. Na razie codziennie rano d"la courage'u" wypijaliśmy po szklance araku, popijając czarą zbożową kawą.

Nadszedł paskudny i najgorszy dzień w Obronie Stolicy - dzień 25 września.

Nieustannie ciągnące się naloty bombowców od samego świtu do zmierzchu. Cała Warszawa w ogniu i dymie. Częste kłęby dymów przeszkadzały nam w otwarciu ognia. Następnego dnia jakby wszystko zamarło-w powietrzu cisza a na ziemi potępy. Tegoż dnia otrzymałem pismo d-cy Obrony W-wy gen. broni Rumla, zawiadamiające mnie o nominacji na podporucznika służby stałej. Przypięciem gwiazdek oficerskich i odpruciem starych naszywek podchorążackich zajęła się moja przyszła żona-Alicja Skowronek.

Nadszedł dzień 27-my września - dzień kapitulacji - już nie było amunicji.

Ostatni rozkaz d-cy Obrony W-wy brzmiał: pozostawić na stanowiskach wszelką broń, działa, sprzęt, resztki amunicji oraz pasy żołnierskie- Madać się na punkty zbiorne, skąd miały nastąpić wyciągnięcia do niewoli Niem.

Od razu zorientowałem się, że taki głupi rozkaz mógł być wydany tylko pod przymusem i naciskiem Szkopów.

Toteż nakazałem wyjąć i wykopać wszystkie zamki dział, zniszczyć sprzęt i zakopać resztki amunicji - żołnierzy zwolniłem od rozkazu pójścia do niewoli - żołnierze rozeszli się - samodzielny pluton "Jadwiga" przestał istnieć.

Ze Zbyszkiem Zającem postanowiliśmy się przebrać w cywilne ubrania i starą Skodą udać się na Wschód - szukać oddziałów wojskowych i dalej jeszcze walczyć. Cywilne ubranie otrzymałem od aktorki Marii Malickiej /jej brat pchor. był w moim plutonie/. Ruszyliśmy we trójkę razem z ochotn. Alicją w kierunku Otwocka, lecz Szkopy całkowicie okrążali W-wę i kazali nam zawrócić.

Gdy wróciliśmy do W-wy, przebraliśmy się znów w wojskowe mundury z zamiarem pójścia do niewoli. Zajechaliśmy tą samą Skodą na punkt zborny na Powiślu. Wyskoczyłem z samochodu i udałem się na 4-te piętro budynku przy ul. Tanki, gdzie robiono spisy wszystkich żołnierzy udających się do niewoli. Za chwilę przyleciała za mną Alicja i powiedziała, że Zbyszek odebrał sobie życie. Zleciałem na dół do samochodu a on zwisał nad kierownicą - z pistoletu Wis'a strzelił sobie w pierś. Zaraz udaliśmy się do najbliższego szpitala na ul. Książęcą, gdzie lekarz stwierdził zgon Zbyszka. Pożegnałem się z Alicją, która zostając, wykopała grób i postawiła krzyż a rzeczy Zbyszka - czapkę i kordzik w kilka dni później na rowerze zawiozła rodzicom Zbyszka - do Częstochowy. Również pożegnałem się z kierowcą Skody, oddając mu kluczyki od samochodu.

Sam przesiadłem się do samochodu Koli, którego spotkałem na

Powisłu i w olbrzymiej kolumnie rozbrojonych żołnierzy udaliśmy się do niewoli niem. - najpierw do przejściowego obozu jeńców w Łowiczu.

Nieprzyjemny był to widok, patrząc w marszu na stojących wzdłuż szosy butnych Szkopów - ogolonych i z wyczyszczonymi butami.

Po dwóch dniach pobytu w Łowiczu daliśmy z Kola drapaką i bocznymi drogami udaliśmy się pieszo do W-wy. Namawialiśmy innych oficerów, żeby się przyłączyli do naszej ucieczki, ale oni mówili, że niekiedy warto, że Niemcy będą się dobrze obchodzić z jeńcami.

Po przyjeździe do W-wy zamieszkaliśmy z Kola i jego matką w mieszkaniu jego kuzynki Basi Domaniewskiej przy ul. Piusa /obecnie ul. Piękna/ 20.

W W-wie życie zaczęło wracać do jakiejś takiej normy - ludzie wracali do domów - kawiarnie wypełnione - można było dostać czarną kawę bez cukru i zamiast ciastka - kawałek razowego chleba - usługiwali jako kelnerzy aktorzy filmowi i teatralni. W kawiarni przy kinie Paladium usługiwali Brodniewicz i Adolf Dymśa, na Foksal w "CaféBodo" - Mieczysław Ówikliński i Malicka.

Ja znalazłem sobie zajęcie - handel koniakami.

Pewnego dnia w październiku spotkałem drugiego kolegę z Torunia, Zbyszka Czołowskiego, syna mjr'a artylerzysty z Równego na Wołyniu. Zbyszek prosił mnie, żebym się z nim wybrał do Równego po matkę i siostrę. Dałem się namówić, ponieważ przy okazji chciałem odwiedzić w Kowlu swoich znajomych. Z Kowlem bardzo się zżyłem, ponieważ spędziłem tam najpiękniejsze lata młodości - 8 lat w gimnazjum - dużo sympatycznych przyjaciół i mój drogi wychowawca z klasy i z

bursy - Józio Bączkowski - uczył nas gimnastyki - dzięki niemu byłem zbudowany jak tur - byłem najlepszym gimnastykiem - przed moimi kolegami chwaliła mnie zawsze nasza lekarka dr Sawicka, mówiąc, że tak jak ja powinien być zbudowany mężczyzna. Ze Zbyszkim zaczęliśmy się przygotowywać do drogi - nakupiliśmy różnych rzeczy na handel z Sowiecami, jak zegarki na rękę, budziki /one były w cenie jako największe zegarki/, papierosy, pończochy damskie, szminki itp. Basia podarowała nam walizkę i worek na te artykuły. Zbyszek włożył na siebie kożuch odwrócony na lewą stronę, żeby wyglądał jak chłop z Polesia - ja w ubraniu na wpół cywilnym i wojskowym /bryczesy i buty z cholewami jeszcze z podchorążówki/ w płaszczu z fokowym kołnierzem, który otrzymałem od aktorki Marii Malickiej.

Od listopada 39 r. do grudnia 47 r. zaczęła się moja wędrówka dookoła całej Euro-Azji od Oceanu Atlantyckiego na zachodzie do Oceanu Wielkiego na wschodzie - Kameczatki i Kołymy na kołem polarnym w pobliżu cieśniny Beringa i Alaski na północy - poprzez więzienia i łagry /obozy zagłady/, stepy Kazachstanu, płaski pustyni Środkowego Wschodu, Jerozolimy, Egiptu, poprzez Półwysep Apeniński, dookoła całej Europy, Anglii i powrót do Warszawy przez port w Gdyni. Osiem lat wędrówki - z W-wy wyjechałem samotny ze Zbyszkim - wróciłem do W-wy z żoną Alicją i synem Jenuszem - wyjechałem w stopniu podporucznika - wróciłem w stopniu kapitana artylerii. W listopadzie 39 r. wsiedliśmy ze Zbyszkim do zatłoczonego pociągu relecji W-wa Wsch.-Lublin-Bełżec /ostatnia stacja kolejowa Gubernii/- był to pociąg towarowy - osobowe jeszcze nie kursowały. Na jednej ze stacji kolejowych weszło do wagonu kilku Polksdeutchów i gdy pociąg ruszył i był w pełnym pędzie wrzeszeli "juden rauss" i na kogo wskazali musieli wykakować z wagonu

- Były również kobiety i dzieci. Zbyszek ze względu na swój ciemny zarost bał się, że go wezmą za Żyda, całą następną drogę przebył na buforach wagonu. Późnym wieczorem dojechalismy do Bełżca - pociąg dalej nie jechał - w pobliżu rozciągała się granica demarkacyjna. Stąd trzeba było przejść pieszo około 20 kilometrów przez pole i lasy i dotrzeć do wsi Potoki, skąd przewoźnik żyd miał nas zawieźć furmanką za dopłatą do Kawy Kuakiej. Wsie Potoki znajdowała się już po stronie rosyjskiej. W Bełżcu przyłączył się do nas pewien Lwowiak, który z gitarą pod pachą wracał do domu. Szliśmy całą noc i nad ranem, gdy zaczęło świtać znaleźliśmy się na skraju wioski ukraińskiej - dookoła las.

Wtem z chałupy wyszedł barczysty mężczyzna - był to Ukrainiec - twarz miał zeszpeconą po przebytej kłopotliwej kłopotliwej ospie. Zapytał nas "z witky wy, kuda wy" - /skąd my i dokąd my/ - odpowiedziałem, że jesteśmy ze Lwowa i wracamy po zawierusze wrześniowej do domu. Odpowiedział wtedy, zaczekajcie chwilę - wszedł do chałupy i zaraz wyszedł z karabinem i opaską czerwoną na ramieniu - zarepetował karabin i kazał nam iść w kierunku Lubyczy Królewskiej, gdzie znajdował się posterunek graniczny, sowiecki. Mrugnąłem na Zbyszka i pomyślałem sobie, nas jest 3-ech a on jeden ale uzbrojony - pomimo to nie daliśmy się prowadzić jak barany na rzeź. Zbyszek i Lwowiak szli na przodzie, za nimi około 5 m. szedłem ja i zaraz za mną Ukrainiec, dźgając mnie lufą w plecy, żebym szedł szybciej. Chłopak roztropek nie wiedział, że włócznia prowadzi się pod karabinem w odstępie co najmniej 3 m. .

To nas uratowało - gdy odeszliśmy od wioski w głąb lasu, nagłym ruchem małej walizki, którą miałem w lewym ręku odtrąciłem w bok karabin i wskoczyłem na chłopca powalając go

na ziemię. W tym czasie on wrzasnął - zakryłem usta ręką w rękawiczce wełnianej i krzyknąłem na Zbyszka, żeby przeszedł i wyrwał mu karabin, ponieważ sam nie dałem rady /jedną rękę musiałem trzymać na jego ustach, żeby nie krzychał/. Przy-
leciał wystraszony Zbyszek i krzyknął, co ja robię i czy
wiem, że za to grozi nam Sybir albo kula w łeb. Ukraińiec
zaczął przysięgać, żebyśmy go puścili a on pozwoli nam odejść.
Nagle w odległości 20 m. pojawiło się 7-miu uzbrojonych w ka-
rabiny chłopów, którzy plądrowali las - usłyszeli krzyk swego
kolegi. Lwowiak stracił orientację i odrasa wpadł w ręce chło-
pów - trudno powiedzieć, co z nim zrobili. Zbyszek uciekł w
dobrym kierunku, ja w dalszym ciągu trzymam powalonego na zie-
mię Ukraińca, który ciągle ścisnął mocno karabin w obu dłoniach
Gdy chłopci zaczęli podchodzić bliżej, zaświtała mi błyskawic-
zna myśl ocalenia - skierowałem lufę karabinu, którą trzymał
podemną Ukraińiec w kierunku podchodzących chłopów i krzyk-
nąłem - stój bo będę strzelał - oni myśleli, że ja jestem w
posiadaniu karabinu i pochowali się za drzewa - wtedy zesko-
czyłem z Ukraińca, złapałem swoją walizkę i zacząłem uciekać
w kierunku ucieczki Zbyszka - Ukraińiec wstał, oddał za mną
strzał, lecz nie trafił.

Po krótkim czasie dogoniłem Zbyszka i już razem kontynuowa-
liśmy ucieczkę przez las w kierunku wsi Potoki.

Po drodze spotykaliśmy koczujące grupy wojsk sowieckich którzy
grzali się przy ogniskach.

Znałem po rosyjsku tylko dwa słowa - "Zdrastwijte towarzysze"
i z tymi słowami podchodziliśmy do nich - oni częstowali nas
krupką zawijaną w gazetę - niektórzy mówili, że trzeba nas
aresztować jako szpiegów, ale większość nie zgadzała się z tym
oskarżeniem i pozwalali nam iść dalej.

I tak dotarliśmy do chałupy żydowskiej we wsi Potoki- 10 km. od Rawy Ruskiej. Sympatyczny Żyd w czarnym hablicie i czarnym kapeluszu , który zdejmował tylko na noc, zgodził się zawieźć nas furmanką do Rawy Ruskiej, jego żona szykowała nam po szklarkę herbaty. Gdy spojrzałem w okno , zobaczyłem na rowerze milicjanta-Ukraińca - był uzbrojony, przez ramię miał zawieszoną torbę po gaz masce z granatami. Zatrzymał się pod chałupą i gdy już miał wejść do środka wypchnąłem z chałupy stojącą obok młodą Żydóweczkę, żeby nas nie zdradziła i powiedziała milicjantowi , że nikogo oprócz rodziców nie ma w chałupie. Milicjant uwierzył , wsiadł na rower i pojechał dalej nas szukać.

Nagle spostrzegłem brak Zbyszka - wystraszony skrył się za snopkiem słomy w kącie izby. Sympatyczny Żyd widząc, że jesteśmy śmigani , bał się nas wieźć do Rawy Ruskiej. Wobec tego zaproponowałem, że my ze Zbyszkiem pójdziemy pieszo każdy oddzielnie , a on za nami będzie wioził tylko nasz bagaż t.j. worek i walizkę. Żyd zgodził się. Po wypiciu herbaty nakazałem pierwszemu wyjść Zbyszkiowi, a następnie po kilku minutach wyzedłem ja na szosę. Był to dzień jarmarczny w Rawie Ruskiej, więc jechało wiele furmenek ukraińskich na targ. Zatrzymałem jedną furmankę z kilkoma babami i spytałem , czy mogę się zabrać - otrzymałem zgodę. Po drodze minąłem Zbyszka, Ukrainki mówiły, że teraz nadejdą lepsze czasy, że nie będzie "panów" i różne inne brednie - ja oczywiście potakiwałem im. Gdy furmanka dojechała do Rawy Ruskiej, zszedłem i wskoczyłem do przydrożnej chałupy na skrajku miasteczka i znów do rodziny żydowskiej -przyjęli mnie dość przyjaźnie- powiedziałem im, że czekam na kolegę i furmankę z bagażem. Do samego wieczora przesiadzałem przy oknie i niestety ani Zbyszka ani furmanki nie

doczekałem się. Tak upłynął ~~piątnasty~~ 1-szy dzień pobytu w Kraju Rad - w kraju "za żelazną kurtyną" - w kraju żelaznej ręki Stalina - w kraju wiecznego głodu i zawstania. Czekają mnie jeszcze 250 takich beznadziejnych dni do momentu, kiedy gen. Sikorski upomnie się o nas, ale o tym później.

Naz jutrz po przenocowaniu w rodzinie katolickiej, wsiadłem do pociągu i dojechałem do Lwowa, a stamtąd drugim pociągiem do miasta Kowal na Wołyniu, gdzie w latach 1927-1935 uczęszczałem do gimnazjum i tam zdałem maturę. Udałem się wprost do moich serdecznych znajomych Moczulskich. Ucieszyli się, że przyjechałem i zaproponowali, żebym u nich zamieszkał. ~~Ruski~~ Rodzina składała się z ~~25~~ 25-ciu osób, w tym dwóch moich kolegów - Marian i Sławek oraz koleżanka Halina.

Dom jednorodzinny też przed wojną postawiony wg. projektu inż. Moczulskiego - dwa kondygnacyjny z wieloma pokojami. Zarobkowo zatrudniony był jedynie inż. Moczulski, projektując dla Sowietów różne mniejsze obiekty użyteczności publicznej. Sławkowi opowiedziałem swoje zajście na granicy demarkacyjnej k/ Rawy Ruskiej i zapytałem, czy nie wybrałby się ze mną do wsi Potoki po odbiór naszych rzeczy. Sławek wyraził zgodę. Gdy doszliśmy do tej wsi, była godzina 12.00 w nocy. Po zapukaniu do drzwi otworzyła nam ta sama młoda żydóweczka i na zapytanie, gdzie są nasze rzeczy, odpowiedziała, że po przeciwnej stronie szosy mieszka Steinwarcel, który miał zwieźć rzeczy do Rawy Ruskiej. Udaliliśmy się do wskazanego domu i naraz zobaczyliśmy przed domem żołnierzy sowieckiego z wyceLOWANYM karabianem, który krzyknął "otój kto idiot" - bez namysłu odpowiedziałem - "swoj", następnie padło drugie pytanie - "Kuda idiecie" - odpowiedziałem - "damoj" - i znów pytanie "gdzie wasz dom" - odpowiedziałem - "tam" i wskazałem

na dom, przed którym stał Sowiet. Wówczas żołnierz sowiecki powiedział - "no idytie" i wpuścił nas do środka chałupy. Wewnątrz były dwie izby - w jednej spali na podłodze żołnierze sowieccy, czyli była to wartownia - w drugiej izbie spał furman Steinwurcel.

Gdy spałem go o nasze rzeczy, odpowiedział, że zarekwirowały mu milicja, gdy wiozł farmanką do Rawy Ruskiej - i tak przepadł nasz bagaż i do Kowla wróciliśmy z naszym.

Nadeszła zima z 39/40 r. - głód dawał się we znaki - w nocy trzeba było stać w kolejce, żeby rano otrzymać bochenek chleba. Bardzo często na obiad były tylko kawałki razowego chleba z gorzką herbatą.

Utkwił mi w pamięci pewien szczegół - pewnego dnia przyszedł do Moczulskich generał sowiecki z zamiarem zajęcia dla siebie kilku pomieszczeń. W jednym z pokoi kwaterowali dwaj politycy w stopniu lejtnantów. Gdy usłyszeli głos i zamiar generała wyskoczyli z pokoju i spytali - "Towarysz generał a Wy konstytucji znajecie" - generał odpowiedział - "nu kak, znaju". Na to odpowiedzieli politycy - "no tak paszoł won" i nie pozwolili generałowi zająć pomieszczeń.

Gdy nadeszła wiosna 1940r., zaczęły się masowe wywózki z całych Kresów Wschodnich do Rosji. Ogółem wywiezionych zostało 2 mln. Polaków na tułaczkę i poniewierkę. Widząc co się święci, postanowiłem wrócić do Warszawy, tą samą drogą, którą tutaj przybyłem. Wystarałem się o stary kożuch, na siebie włożyłem dwie lniane koszule, bryczesy i buty z cholewami artyleryjskie i marynerkę cywilną.

Gdy dojechałem do Rawy Ruskiej i gdy wysiadłem z pociągu, zaczęło się już zciemniać - skierowałem się na szosę do wsi Potoki, odległej o 10 km. od Rawy Ruskiej.

Nagle spostrzegłem nadjeżdżających 3-ech bojów na koniach - zatrzymali się obok mnie i zażądali dowodu osobistego - odpowiedziałem, że nie mam takiego - na tak poszli k/naszemu komandirowi - odpowiedzieli bojcy. Wzięli mnie za koniokrada i nijak im było wrócić z niczym do komendanta.

Komnadir w st. lejtnanta, widząc, że ja nie koniokrad kazał mnie zaprowadzić na milicję. Na milicji ukraińsko-żydowskiej przenocowałem na glinianym klepisku. Nazajutrz ~~wedł~~ żołnierz sowiecki i powiedział milicjantowi, żeby mnie wypuścili, ponieważ już znaleźli koniokrada. Milicjant odpowiedział, że jako granicznik należę już do prokuratora. W ten sposób dostałem się w sidła Sowieców. Zarnz przewieziono mnie do więzienia - do celi o pow. ok. 8 m², gdzie siedzieli 2-ch brodatych W Ukraińców - obszukali moje kieszenie i wytrząsnęli trochę machorki - bochenek razowego chleba, który miałem ze sobą zabrali bez podziękowania. Po 2-ch tygodniach pobytu już nas było na tej samej celi 20-tu. Wkrótce musieli rozładować więzienie i transportem kolejowym przewieziono nas do Lwowa. Gdy wysiadłem z więziarki, przedemną rozciął się widok olbrzymich murów z małymi zakratowanymi oknami - były to brygidki - jedno z najcięższych więzień na Kresach Wschodnich - dawny klasztor im. św. Brygidy. Obecnie - więzienie NKWD /Narodnyj Komisarjat / - po więziennemu skrót ten oznaczał - *Міє ізвієстно какда вернєтє дамєй / nie wiadomo, kiedy wrócisz do domu/.*

W całej Rosji nkwdzistów było 2 mln. a za drutami w obozach i więzieniach w owym czasie 47 mln. niewinnych ludzi.

Nielawem stłoczono nas "jak śledzie w beczce" w małej sali, oczekując na skierowanie do odpowiednich cel cholernego kazermatu. Ludzie spragnieni domagali się wody - ale bezskutecznie.

Do wi żniów zwracano się per "rebjata" /dzieci/ - co za cho-
lerą cynizm. Do nich nie wolno było zwracać się per "towa-
rysz" bo zaraz usłyszało się "koko ja tibia towarzysze" - trze-
ba było tytułować - "grażdanie".

Dostałem się do celi o pow. 20 m², gdzie atłoczonych było
64 męczenników, w tym 8-miu recydywistów- słodzicieli, kasier-
zy, waciorników i inna wszelaka swołocz. Cella posiadała 2
małe górne okienka zakratowane, w kącie stał olbrzymi piec
kuchenny i obok- parasza. Pod oknami leżało na podłodze 8
sienników przeznaczonych wyłącznie dla recydywistów - reszta
spalała na podłodze na swoich ciecuchach, a obuwie i wiska do
jedzenia służyły jako podglówek. Gdy nowy "suwaka" przecho-
dził na celę, recydywiści witeli tymi słowami- "a ciebie
te mary czekały 20 lat". Oni wiedli prąd i rygor- nikt nie
miał prawa sprzeciwić się - straszą nimi był 2-3 Posenberg-
kaniarz krajowy i międzynarodowy- on jeden posiadał dość duży
nóż - przy częstych rewizjach przeprowadzonych przez NKWD - nigdy
nie znalezione u niego tego noża, -tak niewiele potrafił scho-
wać. Dostałem się do więzienia na to, że przez miesiąc czasu
gradował w mundurze oficerskim NKWD i posiadał w kieszeni kilka
kilkę mln. rubli. Przed wojną odbywał odstędek w Górach
Św-Krzy-skich na Św. Krzyżu.

Dwa razy dziennie byndziory urządzały sobie spacer po celi-
reszta musiała być atłoczona pod ścianami celi.

Jedzenie takie, aby nie murred z głodu -rano pajzka chlebek
nie słodki jakiś płyn, przypominający k herbatę - na obiad
- kaszka, bez tłuszczu kasza - na kolację - herbata. Prze-
słuchowanie więźniów najczęściej odbywało się w nocy - wtedy
zapuszczali silniki motocyklowe, żeby nie było słychać krzy-
ków. Raz dziennie wypuszczano celami więźniów na spacer -

codziennie na dziedzińcu po elipsie przez 20 minut.

Do obornej /klozetu/ wypuszczano raz dziennie - o wyciu nie było mowy.

Kilka razy dziennie odbywało się wspólne tzw. iskanie wazów. Na moje szczęście na celi znalazł się szachista, z którym na podłodze rozgrywalismy partyjkę- figury wykonywalismy z kł chleba.

W ciągu 11-tu miesięcy mojego pobytu w brygidkach tylko jedyn 1 raz byłem przesłuchiwany. Do śledczego prowadziła mnie młoda Żydóweczka i po drodze powiedziała do mnie następujące zdanie: "nu ty maładyj czołowiek- czto ty niedzielała- tiepie pojedziesz w białe niedwiedie- nu tam łat' budiesz, ale żywoj pizdy nikakgda nie ponuchajesz". Proszę mi wybaczyć za te wulgarne słowa, ale postanowiłem pisać bez ogródek i bez żadnych fantazji.

I jeszcze jedno wulgarne zdarzenie - pewnego dnia wpakowano nam do celi młodego, 16-letniego Ukraińca, który za cenę wygodnego miejsca na sienniku, musiał wysługiwać się pederak szois Rozenbergowi.

Lato 1940r. było upłnax- pobyt w celi na zatłoczonej stawał się nięddznieślenia tym|bardziej, że odebrano nam spaceru na dziedzińcu- dla naszej celi ogłoszono kwarantannę z powodu zaistnienia 2-ch przypadków tyfusu wakaśnego.

Bandziory namówili celię do podjęcia głodówki na znak sprze- ciwu. Przez 3 dni głodowalismy i nie przyjmowalismy nawet żadnych płynów - temperatura ciała zaczęła się podnosić.

Klucznik tylko otwierał i zamykał drzwi, pytając -"nu rybiata budietia kuszat " - odpowiedź padała- nie.

W nocy zobaczyłem, że bandziory, mając zapasy chleba i cukru

odżywiali się, a nam kazali głodować. Gdy następnym razem klucznik z baniakiem otworzył drzwi, podszedłem z michą po kaszę - za mną poszli inni - głodówkę przerwaliśmy. Tym razem bandziory nie śmieli zaprotestować, ponieważ powiedziałem im, że postępują nie solidarnie, obcierając się w poczcie chlebem.

Oni zresztą czuli do mnie respekt, ponieważ wiedzieli, że jestem byłym wojskowym.

W niedługim czasie następna heca wydarzyła się w celi - Pewnego razu rozwścieczony klucznik ze jakiegoś przewinienia kluczami zbił jednego z naszych bandziorów. Napiętek protestu bandziory powskakiwali na małe okienka, trzymając się za kraty i zaczęli wyć - za naszą celą nastąpiły wybie wszystkie cele w brygidkach - ogólne wycie całego więzienia, które rozlegało się na cały Lwów - powstał bunt więźniów. Za takie i podobne incydenty zawsze odpowiada naczelnik - widocznie w więzieniu dzieje się coś niezgodnego z przepisami - takiego naczelnika nitychmiast zwalniamy z obowiązków i wędzają do tury i "na białe niedźwiedzie".

Nitychmiast na naszą celę wkroczyło około 10-ciu młodszych i zabrali na przesłuchanie tych najmłodszych w celi. Potem przyszli po raz drugi i zabrali wszystkich 8-miu kryminalistów. W niepełną 1 godz. wracali na uzwoznach z posiniaczonymi plecami i w potarganych koszulkach bandziory po swoje wieszaki /ciuchy/ i umieszczeni zostali w poszczególnych izolatkach - z Rozenbergiem na czele. Od tej pory nie mieszało kryminalistów z więźniami tzw. pospolitymi. Nam przywrócono spacer, w czasie których można było zobaczyć za kratą izolatki z posępną miną - starostę Rozenberga.

Po 11-tu m-cach odsiadki nastąpił marzec 1941 r. - następo-

ważną gwałtowną ewakuacją brygadek i transportami kolejowymi wywózki w głąb Rosji - pod tym i innymi względami świetną posiadali organizację - ludzie jak bydło wożeni byli po całej Rosji - aż po Japońską na wschodzie - na północy po Archangielskie Morze Białe, ocean Pn. Lodowaty, Morze Beringa, Kamczatkę i Czukotkę - na południu pod Afganistan i cały Kazachstan - w centralnej Azji - wzdłuż całej linii kolejowej transsyberyjskiej - cały Donbas i góry Uralu.

Mój eszelon zawiózł mnie najpierw na 3 m-ce do Starobielewska. Starobielewskie - dawny klasztor ukraiński z olbrzymimi po środku soborem - cerkwią - z powalonym krzyżem nadzwornym. Wewnątrz kilkupiętrowa konstrukcja drewniana przy czym bez ścienników, koocy na 1 bez pościeli - pomieścić mogła około 4-ech tys. więźniów. Dookoła cerkwi wybudowane były drewniane barki, była również kaplica zamieniona na więzienie, była również 1 budynek murywany z czerwonej cegły, gdzie przebywali przeważnie Rumuni i Węgrzy. Na dziedzińcu człowiek kaleki bez nóg do kolan chodził z miotłą i zamiatał. Młodocieni taw. "Fucany" roznosili baniaki z kaszą lub małymi sylotkami /rybkami/. Oborna - latryna wspólna - tu nie było spacerów. Był to taw. obóz peresylny /prześciolowy/ czyli tranzytny. Przeważnie wszystkie wywózki odbywały się etapami - organizacja jak już wspomnieliśmy - celująca - nigdy nikt nie wiedział dokąd jedzie jego eszelon. Najpierw umieszczono mnie w baraku, gdzie na ścianach przedwiecisty zamalowane wapiem imiona, nazwiska, stopnie, lata urodzeń oficerów polskich - jeńców wojennych - na samym dole widniał napis - "jedziemy w nieznanym kierunku". Teraz już wiadomo, że jechali do Katynia - miejscowości w pobliżu Smolńska. Podobnych obozów, skąd jechali do Katynia był jeszcze obóz w Kozielewsku oraz obóz w Ostaszkowie. Podobno ogółem zajęło

tam ok. 16-tu tys. oficerów polskich - jedna z najbardziej okrutnych zbrodni II wojny św. . Dwa razy spotkało mnie szczęście - 1-szy raz , gdy trafiłem na transport ze Lwowa, ponieważ bragiarki zostały spalone z więźniami, których nie zdążyli wywieźć - 2-gi raz, gdy przyjechałem do Starobielska po wywózce oficerów.

Po pewnym czasie zostałem przeniesiony do carkwi - tu szumiało jak w ulu. Niektórzy mieli porobione precyzyjne wagi szalkowe do odmierzenia krupki tytoniu-kwitki to handel zamienny - chleb za tytoń i odwrotnie.

Nadzedł czerwiec 1942 r. - zaczęła się ewakuacja Starobielska - w nocy podstawiono eszelon składający się z 50-ciu wagonów towarowych - na dachach z przodu i z tyłu eszelonu umieszczono karabiny maszynowe i reflektory - do każdego wagonu ładowano po 50-ciu więźniów.

Pociąg ruszył w kierunku Uralu i linia transsyberyjską na Omsk Nowosybirsk, Krasnojarsk, Irkuck, jezioro Bajkał, Czita, Chabarowsk, Władywostok - 10 tys. km. - cały m-c jazdy.

W nocy, gdy pociąg stał na stacji kolejowej, zaczęło się walienie drewnianymi młotami w ściany wagonów - było to sprawdzanie , czy ktoś nie wyłamuje desek i próbuje ucieczki.

Nikt z nas nie zdawał sobie sprawy, że jedzie do najgorszego obozu w Rosji na Kołymę, za Kołem Polarnym - w pobliżu śnieżyny Berkinga i Alaski. Cały m-c jazdy, bez ciepłej strawy, o pajce chleba i wody ~~xxxxxxx~~ do picia. Czasami za mało było wody w czasie upalnego lata - ludzie wołali - "wody, umieramy z pragnienia" - skądś-oki bojac powiedział - "siej czas przynesu wam wody" - i rzeczywiście przyniósł wiadro wody, otworzył drzwi wagonu i wodę wylał na podłogę, mówiąc - pijcie.

Nadszedł dzień 13-ty czerwca 1941 r. - na stacji kolejowej Pietropawłosk na Uralu usłyszeliśmy, jak megafony oznajmiały, że Niemcy napadły na Związek Radziecki.

Myśmy dalej podążali na wschód, a w przeciwnym kierunku na zachód jechały transporty wojskowe z czołgami i samolotami na lorach wagonów.

W wagonach porobione były prycze do leżenia - obok mnie leżał również artylerzysta - żeby się nie nudziło, uczyłem go języka francuskiego.

I tak dojechaliśmy do portu Buchta - Nebotka w pobliżu Władywostoku. Stąd odbywał się transport więźniów drogą morską - morzem Japońskim między wyspami Japonii i półw. Sachalin, morzem Ochockim do portu Magadan - 12 dni jazdy. Kursowały dwa zarekwirowane statki towarowe - "Dzurma" i "Sowieckaja lotwija". Każdy z tych statków zabierał 8 tys. więźniów, których lokowano w tuznach pod pokładem statku na 10-cio piętrowych pryczach do leżenia.

Tu najgorszą nęką był brak wody do picia. Zętatkiwanie potrzeb fizjologicznych odbywało się w pomieszczeniu o 1 oczku za burtą statku, gdzie na dole zobyczaj można było pływające rekiny.

Gdy statek płynął w pobliżu wysp japońskich - płynął na przyświeconych światłach.

Do 12-tu dniach statek Dzurma zawinął do portu Magadan na morzu Ochockim. Na tym statku znajdowało się tylko 1500 Polaków, reszta to Żuliki sowieckie, Chińczycy i inne narodowości.

Te dwa statki kursowały między Władywostokiem /Buchta Nebotka i Magadanem tylko w okresie krótkiego lata, ponieważ w październiku już zamarzały porty. W tym rejonie - za Kołem Polarnym w zimie temperatura dochodziła do -50°C . Ten rejon ZSRR

nazywał się KOŁYMA i rozciągał się od Morza Ochockiego aż po Cieśninę Beringa - dalej za cieśniną była Alaska.

Wszystkich zakluczonych na samej Kołymie było 3 mln. - ilu było w tym Polaków nie potrafię odpowiedzieć - w każdym razie znacznie mniej, aniżeli nad Morzem Białym - Iczora, Workuta.

Kołyma - postzrach wszystkich więźniów w Rosji - NKWD zawsze straszyciło wszystkich - uważaj, bo pojedziesz na Kołymę. ~~Przez~~

Kołymę biegła szosa długości 500 km., zbudowana przez więźniów, wzdłuż której rozmieszczone były obozy ciężkich robót ziemnych w odkrywkowych kopalniach złota tzw. "przyjskach".

Władzę sprawowali podopieczni naczelnika NKWD-Berji - armia strzyków z krabinami i psami - w obozach byli tzw. rotni i brygadziści - również zakluczeni, jak pozostali więźniowie.

Odżywianie stałe jednakowe - rano pajzla chleba i kipyatek /gotowana woda/ - na obiad 2 łyki stołowe gotowanego owsa, na kolację rzadka zupa ugotowana na odcinach od ryb. Z portu Magadan wożono więźniów do poszczególnych obozów ciężarówkami.

Każdy z obozów miał swoją nazwę w km. w zależności jak daleko był położony od portu.

W porcie Magadan urządzony był za drutami przejściowy-kilkuaniowy obóz pod gołym niebem. Tu oczekiwało się na wyczytanie z listy przywiezionych więźniów przez Dżurnę - na wyczytanie nazwiska, więzień musiał powiedzieć swoje imię oraz imię ojca - wtedy mieli oni pewność, że jest to ten pan - wyczytanie nazwiska było jednoznaczne z przydziałem odpowiedniego obozu - na odpowiednim km - trze od portu. Na bramkach wrażeń sprawiał las olbrzymich transparentów z napisem - "kto nie robotajet, ten nie kuszajet". Poza tym były wystawione olbrzymie czarne tablice, na których były wypisane nazwiska stachanowców, wyrabiających 200 i 300 % normy.

Obóz przejściowy posiadał specjalną zagrodę, do której jak było spędzano więźniów na posiłek - przy każdym stole /na krzyżakach/ - 10-ciu - na środku miska drewniana i łyżkami drewnianymi jadło się jakąś rzadką zupę. W sąsiedztwie obozu mieścił się obóz kobiet-przeróżnych-takich wytatuowanych od stóp do głów - były to zbrodniarki - były również z małymi dziećmi na ręku.

Gdy spytało się, za co ją posadzili - odpowiadała: "Ja niczego nie zdjewała - ja tylko męża zarezała".

I znów przypomniał mi się wulgarny obrazek, gdy pewna Rosjanka podeszła do drutów, podniosła kieckę i krzychała - "chadi Polaczok, pojebi sibia" - i znów przeproszam za ten wulgarny dopisek.

Kilku dniowy pobyt w obozie przejściowym służył jednocześnie na fasunek łagiernego ubrania. Otrzymywało się tzw. gimnastrojkę /bluzę/ i spodnie z br. cienkiego materiału, buszkat /watowana kurtka/, trawiki nie skórzane i czapka letnia. Swoje artyleryjskie buty z cholewkami zaraz zamuszony byłem sprzedać jakiemuś Rosjaninowi za 1 paczkę krupki/machorki/, ponieważ wiedziałem, że i tak nie upilnowałbym ich przed kradzieżą. /

Pewnego razu, gdy byłem wyznaczony do pracy w porcie, zajęchała limuzyna, z której wysiadł wysoko postawiony rangą jakiś naczelnik NKWD i spytał - "zdjeś Polaki jeś". Odpowiedzieliśmy - tak-jesteśmy Polakami - "nu to skoro budiem was oswabażdat", tolko nada normu wyrabotawat" - odpowiedział naczelnik.

Trudno było nam uwierzyć w wypowiedź naczelnika - myśleliśmy, że była to tylko zachęta do wyczerpanej pracy. Ale już wkrótce megafony oznajmiły, że Polacy ramię w ramię z Rosjanami pójda razem bić faszystę Germanca. Wtedy już iskro nadzieii wsta-

piła w nas. Na razie nic się nie zmieniło - stosunek naczelni-
stwa w stosunku do nas nie zmienił się na lepsze- rozpędzona
machana wywózki trwała nadal.

Po kilku dniowym koczowaniu pod gołym niebem wreszcie naczel-
stwo w okrągłych, olbrzymich czapach, usadowione na specjalnym
podwyższeniu- naczelstwo "Isprawitielno-trudowich, Sewierno-
Wostocznych Lagierow" /Poprawczo-Ciężkich Północno-Wschodnich
Łagrów/ - wyczytało moje nazwisko i skierowało na 47-my km.
do obozu- do prac ziemnych przy budowie aerodromu /lotniska/-
dla transportu wydobytego złota. Do tegoż obozu skierowanie
otrzymało 500 Polaków. Gdy przyjechaliśmy ciężarówką na miej-
sce w tajdze, przywitał nas rotny obozu tymi słowami: "tu będzie-
cie żyć i umierać". Megafony nadal sznajmiały, że razem pój-
dziemy się bić z Niemcami. Wtedy nie wiedzieliśmy jeszcze,
ale teraz możemy stwierdzić, że już w lipcu 1941 r. gen. Sikor-
ski pertraktował ze Stalinem na temat zwolnienia Polaków z
łagrów i stworzenia Armii Polskiej w ZSRR.

Obóz w tajdze był ogrodzony i posiadał drewniane pałatki do
zamieszkania- wewnątrz prycze bez kocy- na środku zainstalowa-
na była koza żelazna do ogrzewania pałatki. Poza tym była ku-
chnia do gotowania owse i zupy na ościach rybich. Była rów-
nież bolnica z lekarzem- Polakiem, który nas karmił wyciągiem
z kory brzozonej przeciwko cyndrze i szkorbutowi.

Już po miesiącu pobytu w obozie cynga i szkorbut dawały się
we znaki- następowało ruszanie się zębów- następowała opuchli-
zna twarzy, rąk i nóg- trzewików nie można było włożyć na opu-
chnięte spopy - do pracy odległej o 6 km. od obozo chodzili-
śmy boso - w zimie dochodziło odmrożenie palców rąk i nóg -
no i amputacje. Pisząc ten pamiętnik i ponownie przeżywając
ten koszmar - niełatwo jest przejść do porządku dziennego
- ale takie były wówczas naprawdę czasy rządów Stalinga i Berii

Nie wiem, czy gdyby Marks, Engels, Lenin powstał z grobów nie mieliby wyrzutów sumienia za stworzenie komunizmu takim kosztem ofiar ludzkich.

Życie łagierne zaczynało się o godz. 5-tej - potem mycie się, fesenek pajki chleba i zbiórka u lekarza po kwoję przeciwko cyndze i szkorbutowi. Zaraz potem był wymarsz do pracy /6km./ - najpierw ludzie ustawiali się platiorkami /po 5-ciu w szeregu/, brygadami ~~pm~~ 50-ciu osobowymi przed bramą. Wtedy komendę obejmował strylok z karabinem i z psem, wygłaszając następujące zdanie: "Od siech por prynależyte rozprażeniom konwojaższach w lewo, szach w prawo, bez uporopreżdenia budu pri-nimst' rużu" /od tej pory nelszycie rozporządzeniom konwojażkto oddali się z szeregu w lewo lub w prawo, bez uprzedzenia będę strzelał/.

Potem otwierał barne rotny obozu i odliczał platiorkami wychodzące brygady.

Na miejscu pracy kósł las- więc najpierw były prace przy wykarczowaniu lasu- * układanie drobnych gałęzi w kupki i ich spalenie - pnie drzew wywoził traktor z kierowcą stachanowcem. Następnie nastąpiły roboty ziemne - planowania gruntu pod lotnisko. Były również rozstawione baniaki na ~~złotyck~~ żarzących ogniskach z kipiátkom /gotowaną wodą/. Ze względu na olbrzymią ilość komarów, pracowało się w nakomarnikach i rękawicach. Do obozu warcało się o godz. 18.00 lub czasami o godz. 20.00 .

Gdy strylok chciał kogoś ~~zakar~~ ukarać, kazał mu się rozebrać do pasa, zdjąć nakomarnik i rękawice, a komary miały używanie. Był okres, gdy bez przerwy przez 2 tygodnie padał deszcz - to nie zwalniało od ~~nie~~wychodzenia do pracy na lotnisku. Po przyjsciu do pałatki nie wiadomo było, czy do spania zdjąć

zmoknięte ubranie, bo wiadomo było, że nie wyschnie do rana, czy też kłaść się bez rozbierania.

W południe przyjeżdżała na pole ~~konik~~ o jednym koniku beczka z gotowanym owsem - trudno było zaspokoić głód dwiema łyżkami stołowymi owsa.

Był sierpień 1941 r. - wreszcie nastąpił okres zwalniań z obozu który trwał przez dłuższy okres czasu - nie wszystkim od razu kazali się zbierać z wieszczami /"nu dawaj z wieszczami"- częsty ich zwrot przy zmianie zakwaterowania/. Najpierw zabrano 200-tu i gdzieś odwieźli, potem przerwa, potem 100-tu i znów długo nie, potem po 20-tu lub nawet z przerwami ~~xxnasy~~ pojedynczo - nawet w nocy. Zostało nas w końcu tylko 50-ciu - już był wrzesień, a w październiku zamarzają zatoki i nie ma ruchu statków. Przeżywalismy to nerwowo - ludzie zaczęli się modlić. Przetrwąć zimę w lichym ubraniu za Kołem Polarnym to nie miła perspektywa. ~~szukanie~~

Codziennie w południe wyglądaliśmy beczki z owsem - jeżeli przy furmanie szedł rotny, to oznaczało, że z kartki wyczyta kogoś, lub więcej osób na wolność.

Pewnego dnia ujrzelismy rotnego przy furmanie - wyczytał 25-ciu szczęśliwców, wśród których znalazłem się i ja. Przeczytał moje nazwisko - odpowiedziałem Stanisław-Michajłowicz - "nu dawaj z rabotu" - odpowiedział rotny.

I dwójkami pomaszerowaliśmy bez konwoju do obozu, gdzie czekała na nas ciężarówka - nawet nie zjedliśmy 2 łyżek przywiezionego owsa.

Ciężarówka przywiozła nas 25-ciu do portu Magadan.

Tu do bani chodziliśmy w dwójkach bez konwoju - wracające z pracy brgady sowieckie w konwoju rozdroszcili nam - jeden do drugiego mówił :- "Smotryj, eto Polaki - strasliwoj narod -

wracają na Materyk /Rosja/ ".

Długo nie czakaliśmy /3 dni/ na transport morski, ponieważ w porcie stała już ta sama Dżurma, która przywiozła nas na tę cholerną Kołymę.

Jeszcze a'propos odmrożeń - z opowiadań starych żeglarników dowiedzieliśmy się, że istnieją na Kołymie chóz dziwołagów - ludzie bez rąk i bez nóg po amputacjach z odmrożeń. Sowietci w obawie przed opinią ludzką nie wywozili ich na Materyk - trzymali na Kołymie i za darmo karmili owsem.

Przy wejściu na statek Dżurma, odbyła się szczegółowa rewizja - czy przypadkiem ktoś nie wywozi złota. Załadowano 200-tu pasażerów - już nie lokowano nas pod pokładem w tyurmach - mogliśmy swobodnie poruszać się po całym statku - dowolnie mogliśmy pić wodę. Kapitan statku spodziewał się sztormu i zabrał więc na statek większe ilości chleba - następnego dnia podróży rozdał nam ten dodatkowy chleb, ponieważ morze było spokojne i nie zanosiło się na burzę.

B. dużo zjadłem tego chleba, ale samym chlebem nie można się najeść.

Po 8-miu dniach podróży statek zawinął do portu we Władywostoku. Gdy wyszliśmy na molo, drugi statek z Polakami, z Czukotki również przybił do brzegu - ludzie wyciągali ręce i wołali, że są głodni - rzucaliśmy więc na ich pokład resztki nie zjedzonego chleba.

Niebawem ~~zaprowadzono~~ nas do obozu - do baraków, gdzie oczekiwaliśmy na formalności związane ze zwolnieniem z Iagrow na wolność. Tu otrzymaliśmy udostwierzenie /zaświadczenie/ z fotografią, zrobioną jeszcze na Kołymie, z wypisanym docelowym skierowaniem - do Omska /serce Azji/ - tu podobno miała organizować się Armia Polska. Otrzymaliśmy również po 280 rubli

na łepkę i bilet kolejowy do Omska. I wreszcie otworzyły się bramy obozu - wyszliśmy na wolność - w mieście Władywostoku. Bez zastanowienia, pierwsza myśl jaka nam przyświecała, to pójść do restauracji i najeść się do syta. Była godz. 16.00 - obleciałem wiele restauracji, ale już nie było żadnych dań - był tylko kompot. Poleciałem więc na wagał /stację kolejową i tam zamówiłem i zjadłem kilka porcji gulaszu.

Wieczorem podstawili pociąg osobowy, ekspres Władywostok - Moskwa - do Omska 7 dni jazdy. Wagony posiadały miejsca leżące - prycze bez pościeli i bez koców. Nadenną ułokował się jakiś Sowiec i tak zagał do mnie - "Synok, napij się" - bez pytania czym mnie częstuje podstawikiem blaszyny kubek. Gdy powąchałem, okazało się, że była to woda kolońska - eau de Cologne. Pociąg posiadał wagon restauracyjny - cały mój majątek 280 rubli zostawiłem w tej restauracji.

Dojechalismy do Omska - żadnej Polskiej Armii tu nie było - tutejsze władze odradzały nam szukanie Armii Polskiej - namawiali, żebyśmy tam zgłosili się do pracy i mówiąc, że na tyłach również potrzebni są ludzie. Nie daliśmy się zwieść - nie mając już pieniędzy poszedłem na bazar i sprzedałem swój buszlat więzienny za 60 rubli.

Niebawem nadjechał 50-cio wagonowy pociąg towarowy z polekimi byłymi Łagiernikami z nad morza Białego - z Peczory i Uchty. Nie było wśród nich polskich komendantów - nikt nie wiedział dokąd jadą - dołączyłem do tego transportu. Pociąg jechał na południe w kierunku Taszkientu. Odpowiadał mi ten kierunek, ponieważ nie miałem zimowego okrycia w w Kazachstanie nie ma mrozów.

I znów jazda o głodzie - jedynie w polu, gdy pociąg stał, mogliśmy się pożywić arbuzami i dyniami. Pociąg dojechał nad

rzekę Amur-Darię w Uzbekistanie. Tu załadowano nas na brzoza /barki/- 7 dni płynęliśmy w głąb stepów Kazachstanu. Nie wszystkim dane było przetrwać i dotrzeć do organizującej się Armii Polskiej - na barkach z wycieńczeniem, głodu i wazy umierało codziennie kilku ludzi - trupy wrzucało się do rzeki. Na razie nie czuliśmy tej oczekiwanej i zbawiennej wolności - domyśliliśmy się, że nas pcheją do pracy w kołchozach Uzbekistanu.

I rzeczywiście, gdy barki dobiły do brzegów Amur-Darii, czekali nas Uzbegy z arbami - dwukołowymi, wysokimi wozami, zaprzęgniętymi w woły, aby nas rozwieźć po różnych kołchozach dla zbierania bawełny. Zarobek bardzo lichy - za dzień pracy jedna garść dżugary/kaszy/, nadającej się do ugotowania zupy lub wypiekania placków w piecach glinianych na wolnym powietrzu.

Dostałem się do kołchozu Kalinin - tworzyliśmy tu grupę Polaków składającą się z księdza Guzika, brata zakonnego, 1 kobiety z czworgiem dzieci i 20-tu młodych mężczyzn. Ksiądz co niedzielę odprawiał nam mszę św. - ministrantem był brat zakonny - poza tym był naszym świetnym kucharzem.

Często do zupy dżugary włożył jakiegoś upolowanego psa lub kota uprzednio pokrajanych na małe części. W nocy brat mało spał, ponieważ odmawiał różaniec.

Pewnego razu stęsknieni za chlebem postanowiliśmy okraść kołchozny magazyn, w którym znajdowała się mąka. Na wyprawę w noc wybraliśmy się wszyscy mężczyźni z księdzem i braciuzkiem na czele. Bohaterem tej wyprawy był brat zakonny - najpierw przygotował on 7 worków na mąkę.

Magazynu pilnowało 2 stryżków Uzbeżów z karabinami - do wnętrza można się było dostać przez otwór w dachu budynku wyso-

kości około 5. . Czynny udział w zdobyciu mąki brało 3-ech mężczyzn w tym również braciszek - pozostali razem z księdzem byli na czatach. Dwóch nas weszło do środka magazynu i zaczęliśmy napełniać do połowy zawartości worków w mąkę, żeby nie były za ciężkie przy wynoszeniu na dach. Worki na dachu odbierał braciszek.

Gdy już wszystkie mąk worki z mąką były na dachu, stryżkowie musieli usłyszeć jakiś szum, dochodzący z wnętrza magazynu - wszczęli alarm i z latarniami zleciał się cały kołchoz - chodzili dookoła budynku, lecz nikomu nie przyszło na myśl wejście na dach. Widząc, co się święci powiedziałem braciszce, że trzeba zostawić mąkę, zeskoczyć z dachu i uciekać. Braciszek usłuchał się mnie i powiedział: szkoda mąki, szkoda worków - ja i ten drugi zeskoczyliśmy z dachu i "w nogi" - brat zakonny pozostał na dachu i przeczekał aż się uspokoi i Uzbegy rozejdą się do swych domów.

Do swego domu wróciłem dopiero nad ranem ponieważ było ciemna noc i trudno było trafić. Zobaczyłem braciszka, jak nabierał ze studni wodę - powiedział mi, że mąka znajduje się u nas - gdy Uzbegy rozeszli się, worek po worku znosił do domu i zaraz mąkę zakopał. Zaraz przeszedł do nas przedstawiciel kołchoza/ze śpiczastą bródką/-kucnął przy wejściu do izby i powiedział, że karbszczyki zakradli się do magazynu i że jest na nas podejrzenie - odpowiedzieliśmy, żeby szukał. Po pewnym czasie przyszedł nawet z milicjantem, ale mąki nie znaleźli, a braciszek wypiekał nam małe bochenki chleba - akurat było to Boże Narodzenie.

W Uzbekistanie najpóźniej wprowadzony został komunizm - Uzbegy, którym pozabierano barany opornie i niechętnie poddawali się rygorom tego ustroju. Życie prowadzili prymitywne - odżywiali się mizernie - połowa leploszki z dżugary wystarczyła

im na cały dzień - tylko raz w miesiącu urządzali ucztę z baraniny.

W lutym 1942 r. zjechała się polsko-sowiecka komisja lekarska dla dokonania poboru mężczyzn zdolnych do służby wojskowej - i znów zabłysła myśl, że dostaniemy się do Armii Polskiej. I tak się stało - w marcu 42 r. znowu załadowano nas na te same barże - płynęliśmy znów Amur Daria do miejsca najbliższej linii kolejowej. Ciągle jeszcze nie wiedzieliśmy, dokąd jedziemy - dopiero na pewnej stacji kolejowej, gdzie podstawiony był pociąg osobowy, do którego nas załadowano, spotkałem na peronie znajomego lekarza z Wilna, mjr'a Kiełbińskiego, ubranego w angielski batal-dress, który w tajemnicy powiedział mi, że jedziemy do Persji.

Wyjazd do Persji zawdzięczamy Sikorskiemu i przede wszystkim Andersowi, który również był więziony w Moskwie - myślę, że Churchill przyczynił się, ponieważ miał na względzie ochronę przez Polaków pól naftowych na Środkowym Wschodzie. W czasie, gdy większość Polaków błąkała się po Rosji azjatyckiej, szukając Armii Polskiej lub tych, co jeszcze odrabiali po amnestii pańszczyznę w kołchozach i fabrykach, w Bzułuku utworzyła się 1-sza jednostka wojskowa Polskiej Armii - 5 Kresowa Dywizja Piechoty pod dowództwem gen. Boruty Spiechowicza - szefem sztabu był płk. Berling. Narnie służyło się w tej dywizji - żołnierzy źle karmili - nie dali umundurowania, nawet broni do ćwiczeń, Początkowo było trochę karabinów, lecz później odebrano - żołnierze ćwiczyli na kijach.

Anders, mądry dowódca, widząc co się święci, trzykrotnie zebrał delegację i jeździł do Stalina, aby pozwolił Armii Polskiej wyjść z Rosji do Alintów i z tamtej strony bić Niemców, tłumacząc niedostatecznym odżywianiem i wyposażeniem żołnierzy.

Dopiero za trzecim razem, Stalin widząc, że nie przekabaci Andersa na komunizm zgodził się na wyjazd Armii Polskiej do Persji - wolał się pozbyć takiej armii. Gdy KDP jechała do Persji, Berling pozostał w Rosji, aby ścigać resztki niedobitków, którzy nie zdążyli dołączyć do Andersa, i stworzyć w rok później Dyw. im. T. Kościuszki - kwiat młodzieży i zdrowych mężczyzn pojechał z Anderssem. Myślę, że Berling również miał zamiar udać się do Persji, lecz za przyczyną polityki Stalina i w wpływów Wandy Wasilewskiej, kazano mu pozostać w Rosji. Pociąg, którym jechaliśmy do Persji szedł przez Aezchabad do Krasnowodzka - portu nad Morzem Kaspijskim.

Tu nas z pociągu wygróźono i kazano ładować się na czekający już na nas statek - na drogę dostaliśmy po śledziu i 1 kostce cukru - na molo orkiestra dęta grała nam marsza.

Podróż trwała nie cały dzień. Gdy statek zawinął do portu Pahlewi w Persji i gdy wyszliśmy na brzeg, poczuliśmy się w zupełnie innym świecie.

Trudno nam było sobie wyobrazić i przypomnieć widok otwartych sklepów pełnych towarów, gdzie można było nabyć chleb, masło lub daktyle - ludzie klękali i całowali ziemię.

Był to dzień 27 marca 1942 r. - data stąpienia w Pahlewi na ziemi perskiej - data, której nigdy nie zapomnę - to, co ciemne i nieludzkie pozostało za nami.

Zaraz zaopiekowali się nami Anglicy - na molo ustawione były worki z białym chlebem, ostrzegali, żeby nie jeść za raptownie, żeby nie dostać skrętu kiszek. Odbyła się intensywne dezynfekcja ze strzyżeniem włosów i świetną kąnią perską - ubrania nasze poszły na stos i spalone. Wyfasowaliśmy batel-dresy z czystej wełny, koce i skarpety wełniane, buty, bie-

lizną osob. i pościelową - wszystko w najlepszym gatunku.
Mój żołd podporucznika, dwutygodniowy, wynosił tyle, że mogłem sobie sprawić zegarek na rękę Cymę, srebrną papierośnicę i codziennie być w lokalu luksusowym na kolacji. Z rozkazu gen. Andersa, nie wolno nam było tańczyć - Polaka była przecież w żałobie.

Życiorys Stanisława Dmuchowskiego

Stanisław Dmuchowski urodził się 18 kwietnia 1915 roku w Dortmundzie. Rodzice - emigranci - Michał i Agnieszka z domu Łasecka wyjechali "za chlebem" ze wsi z Kujaw.

Następnie cała rodzina pojechała do Francji, do małego miasta górniczego Gauthierets w departamencie Saone et Loire, gdzie Michał Dmuchowski pracował jako górnik w kopalni węgla. Stanisław Dmuchowski początkowo chodził tam do szkoły, później dostał stypendium od rządu polskiego, który wysłał go do kraju i płacił za jego naukę w gimnazjum w Kowlu i za internat. Zdał tam maturę, po czym wstąpił do szkoły podchorążych artylerii w Toruniu.

Po jej ukończeniu dostał przydział do 1 pułku artylerii przeciwlotniczej w Babicach pod Warszawą, gdzie zastał go wybuch wojny w 1939 r. wraz ze swą baterią brał udział w obronie mostów warszawskich. Został oznaczony Krzyżem Walcznych i mianowany podporucznikiem. Dostał się do niewoli niemieckiej, z której uciekł. Poszedł do przyjaciół do Kowla, skąd wracając, został wresztowany przez sowiecką straż graniczną i osadzony w więzieniu w Brygidkach we Iwowie.

W więzieniu udało mu się ukryć, że był oficerem. Bez wyroku wywieziono go w marcu 1941 r. do Starobielska, a stamtąd w czerwcu 1941 r. na Kołymę do łagru, gdzie pracował przy budowie lotniska do momentu zwolnienia na podstawie "amnestii" /układ Sikorski-Stalin.

Wstąpił w 1941 r. do Polskich Sił Zbrojnych w ZSRR, z którymi 27 marca 1942 r. wyjechał do Persji, a następnie do Palestyny, gdzie był dowódcą baterii w 5 pułku artylerii przeciwlotniczej w 5 Dywizji Strzelców Karpackich, a potem w 5 pułku artylerii przeciwlotniczej w 5 Kresowej Dywizji Piechoty, z którą w 1943 r. wyjechał do Włoch. Brał udział w całej kampanii włoskiej. Po bitwie pod Monte Cassino został po raz drugi oznaczony Krzyżem

Walecznych.

Po zakończeniu wojny wraz ze swoim pułkiem w 1946 r. wyjechał do Anglii, gdzie przebywał wraz z żoną - była ochotniczką IBK i synkiem w obozie Korpusu Przysposobienia i Rozmieszczenia pod Cheltenham, skąd po demobilizacji w grudniu 1947 r. wrócił do Polski, do Warszawy.

Wstąpił do wyższej szkoły in. Wawelberga i Rotwanda, po której ukończeniu jako inżynier sanitarny pracował w różnych przedsiębiorstwach w Warszawie.

Zmarł 11 lipca 1988 r. Pozostawił 3 synów: Janusza, Wojciecha i Jerzego.

Poza wspomnianym wyżej dwukrotnym odznaczeniem Krzyżem Walecznych odznaczony był Krzyżem Monte Cassino, Medalem Zwycięstwa i Wolności, Medalem "za udział w wojnie obronnej 1939 r.", 4 brytyjskimi medalami pamiątkowymi oraz Krzyżem Kawalerskim Orderu Odrodzenia Polski.